Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Górka zajęcza. Fot. St. Steliński.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 3 (658) 16 STYCZNIA 1932 R.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".



Na podjazd cietrzewi (Z cyklu: Wileńszczyzna) Fot Jan Bończa-Markowski.

NARTY NA USŁUGACH ŁOWIECTWA.

Sport narciarski rozwinął się u nas bardzo niedawno. Jednym z pierwszych, którzy tego sportu u nas próbowali, był znany myśliwy, p. Stanisław Barabasz. Ciekawem jest, że na pomysł używania nart naprowadziło p. Barabasza polowanie. „W grudniu 1888 r., pisze p. Barabasz, byłem u kolegi szkolnego D. w Jasielskiem na polowaniu. Spadły wtedy ogromne śniegi, tak, że chodzenie po polach było prawie niemożliwe. Wtedy przypomniałem sobie, że dobrzeby było zrobić parę takich drewnianych łyżew, celem ułatwienia chodzenia po śniegu ku zagładzie rodu zajęczego" (patrz Stanisław Barabasz „Wspomnienia narciarza", Zakopane 1914). Dalej pisze ten zasłużony narciarz i myśliwy: „Lepiej mi się udało polowanie w kilka lat później, w roku 1896, 19 grudnia, w Rącznej koło Krakowa. Na głęboki, stary śnieg spadła ponowa, można było cicho na nartach iść. Mój towarzysz, p. Z., był bez nart, to też zapadał głęboko i strasznie się całodziennem chodzeniem umęczył. Mnie zaś było łatwo po powierzchni śniegu się posuwać, a nawet raz udało mi się z pagórka zabiegnąć drogę zającowi. Rezultatem tego polowania były zabite przezemnie cztery zające, podczas gdy mój towarzysz żadnego nie zabił".

Słowa te zacytowałem z dwóch względów. Po pierwsze, by zaznaczyć, że to zaledwie trzydzieści kilka lat temu, jak wogóle zaczęto w Polsce pierwsze próby jazdy na nartach, po drugie zaś by wykazać, że już wówczas okazało się, iż narty w myślistwie mogą oddać duże usługi. Ciekawem też jest, że jakkolwiek powstanie tego sportu u nas związane jest z myślistwem, to jednak później i dotychczas zresztą, narty przez myśliwych nie zostały należycie ocenione.

Sport narciarski rozwijał się u nas zresztą bardzo powoli. Z początkiem wieku XX pojawia się coprawda więcej narciarzy, ale przez dobrych kilka lat wszystkich ich można było policzyć na palcach. Nieco silniejszy rozwój narciarstwa dał się zauważyć tak około r. 1910. W tym roku mianowicie odbyły się w Tatrach, w okolicach Zakopanego, pierwsze, na większą skalę zakrojone, zawody narciarskie. Liczba narciarzy wzrastała jednak dość powolnie, na co w parę lat później hamująco wpłynęła naturalnie wojna. Pamiętam dobrze, że jeszcze 15 lat temu w Zakopanem narciarze stanowili pewnego rodzaju sensację — szczególniej wśród przyjezdnych z innych okolic Polski wzbudzali oni znaczne zaciekawienie. Dopiero po wojnie, a głównie w ciągu ostatnich lat 5 — 6 narciarstwo tak się u nas rozwinęło, że z roku na rok coraz bardziej zanosi się na to, że stanie się ono naszym sportem narodowym.

Czas też bodaj najwyższy, by myśliwi zwrócili na narty baczniejszą uwagę. I to zarówno w górach jak

i w równinach. O ile chodzi o góry, to narty dopiero otworzyły do nich drogę w porze zimowej. Bez nart góry zimą są niedostępne. Dla narciarza zaś nie istnieją przeszkody w postaci czy to wielkich, nadmuchanych przez zawieje zasp, czy też głębokich puszystych śniegów, w których grzęźnie się po pas i wyżej. To też, gdy w roku 1927 z ramienia Fundacji Kórnickiej organizowałem łowiectwo w Tatrach, zaopatrzyłem strażników łowieckich w narty; chętnie też przyjąłem do służby dwóch wybitnych zawodników narciarskich — górali. Ci strzelcy na nartach czuli się w górach zimą lepiej bodaj, niż latem. Panowali nad swemi rewirami dużo swobodniej, szybciej mogąc się przenosić z miejsca na miejsce. Zarówno obchody rewirów, jak i dostarczanie paszy do karmników odbywały się (i odbywają się bodaj dotychczas) zimą wyłącznie na nartach. Nie wiem, czy gdzie we wschodnich Karpatach straż łowiecka pełni swą służbę na nartach? W każdym razie tym właścicielom rewirów łowieckich w górach, którzy dotychczas strzelców swych nie zaopatrzyli w narty, polecam najgoręcej to uczynić. W stosunku do niewielkich kosztów ekwipunku narciarskiego, opłaci się to znakomicie.

Jednak nietylko w górach narty mogą oddać łowiectwu wielkie usługi. Również i w równinach, szczególniej w Polsce północno-wschodniej i wschodniej, gdzie panują długie i śnieżne zimy, narty powinny być nieodzowną częścią ekwipunku strażnika łowieckiego i myśliwego. Przy głębokich kopnych śniegach, czy to obchodzenie rewiru, czy tropienie, jest bardzo uciążliwe. Chodzenie w wysokim śniegu męczy szybko; człowiek posuwa się przytem bardzo powoli. Przeciwnie, na nartach sunie się po powierzchni śniegu bez zmęczenia i szybko. Narciarz z największą łatwością i bez zmęczenia otropi w tym samym czasie kilkakrotnie większy teren, niż zdolny to jest uczynić człowiek pieszy. Proszę pomyśleć jak wielkie ma to znaczenie na polowaniu przy krótkim dniu zimowym.

Po tych kilku uwagach, które, jak sądzę, dostatecznie motywują zastosowanie nart w łowiectwie, przejdę do opisu sprzętu narciarskiego. Kształt narty widzimy na rycinie 1-ej. Rycina ta pokazuje wyraźnie, że narta nie jest, a przynajmniej nie powinna by w dolnej swej powierzchni płaska. Dolna powierzchnia narty jest łagodnie wygięta ku górze. Wygięcie to znika pod wpływem ciężaru człowieka, stojącego na nartach; wówczas przy płaskiej narcie ciężar narciarza jest równomiernie rozłożony na całą płaszczyznę styku ze śniegiem.

Wzdłuż dolnej powierzchni narty wycięty jest podłużny, niezbyt głęboki rowek, który ma za zadanie, przy sunięciu narty po śniegu utrzymywanie jej w linji prostej. Innemi słowy rowek ten utrudnia przesuwanie się nart na boki.

Narty umocowuje się do nóg przy pomocy uprzęży. Uprząż winna być tak zmontowana, by przy ujęciu narty za pasek, przechodzący nad przednią częścią stopy, względnie za tak zwane baki, narta opadała przednim swym końcem w dół pod kątem mniej więcej 30°.

Obecnie istnieje bardzo dużo typów więżb. Opisywać ich tutaj niepodobna. Zaznaczę więc tylko, że wszystkie te więżby wymagają specjalnego obuwia. Jedną z niewielu więżb, do której można stosować każde obuwie jest, dawniej powszechnie używana, a dziś niemal zarzucona, więżba Bilgeri'ego. Z tego względu zapewne będzie ona dogadzać większości myśliwych. Ja jednak jestem zdania, że lepiej jest zaopatrzyć się w narciarskie buty i używać więżby bardziej nowoczesnej.



Ryc. 1.



Ryc. 2.

Do nieodzownego ekwipunku narciarza należą kijki. Najczęściej używa się kijków leszczynowych lub bambusowych. Kijki winny być takiej długości, by sięgały do piersi narciarza. Górne końce kijków zaopatrzone są w rzemyki (patrz ryc. 2), dolne winny być okute. W pobliżu dolnych końców kijków przymocowane są tak zwane talerzyki, które mają za zadanie chronić kijki od zbytniego zagłębiania się w śnieg. Obecnie najbardziej rozpowszechnione są kijki bambusome. Są one bardzo praktyczne — mocne, a jednocześnie lekkie.

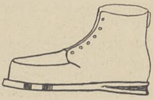
Do większości obecnie używanych więżb konieczne są specjalne buty narciarskie. Dostać je można w każdym bodaj sklepie sportowym. Kupując buty należy pamiętać o tem, by były one dostatecznie duże. Do butów narciarskich używa się grubych skarpetek wełnianych, które kładzie się na zwykle używaną pończochę czy skarpetkę. Otóż noga, ubrana w taką skarpetkę, winna mieć zupełną swobodę w bucie; w przeciwnym razie przy silnych mrozach będzie marznąć.

Najbardziej przyjętym strojem narciarskim jest granatowe ubranie norweskie, składające się z długich spodni ze strzemiączkami, wpuszczonych w buty i krótkiej kurtki. Te długie spodnie uważam do nart za najpraktyczniejsze. Do celów myśliwskich należy je naturalnie wykonać w odpowiednim kolorze. Poza tem dopełnieniem ubrania będzie jakiegokolwiek kroju kurtka czy marynarka, byle nie za ciepła. Zamiast kurtki można wkładać sweater i wiatrówkę.

Do nart należy się ubierać możliwie lekko. Nawet przy silnym mrozie, w ruchu nie odczuwamy zimna i nie ulegamy przeziębieniu. Przeciwnie, ubrawszy się za ciepło, pocimy się i łatwo możemy się prze-

ziębić. Wszelkie futra, czy watowane kurtki, do nart nie nadają się zupełnie. Bezwątpienia myśliwy-narciarz musi być przygotowany na specjalne warunki — po wytężonym biegu jest on narażony nieraz na dłuższy postój na miejscu. Na takie ewentualności najlepiej jest mieć z soba ciepły sweater w plecaku. Buty narciarskie winny być odpowiednio smarowane, by nie przemiękały. Należy je więc często smarować. W handlu można obecnie dostać doskonałe preparaty, które odpowiednio używane zabezpieczają dobrze skórę przed przemoknięciem. Buty należy wysmarować zaraz po kupieniu i to kilkakrotnie tak by smar dobrze zaimpregnował skórę zanim zdołała ona przemoknąć.

Ekwipunek narciarski należy dobierać starannie i to w odpowiedniej kolejności. Najpierw więc kupujemy narciarskie skarpetki, potem dopiero dobieramy buty. Narty należy kupować dopiero po kupnie



Ryc. 3.

butów. A to dlatego mianowicie, że do każdego buta więźba musi być odpowiednio dopasowana. O tem dopasowaniu trzeba pamiętać, w przeciwnym razie bowiem będziemy narażeni na spadanie nart, względnie na znaczne trudności przy ich wkładaniu. Założenie więźb na narty, a następnie dopasowanie ich do butów winno być uskutecznione na miejscu przy kupnie. Należy też pamiętać o tem, by na narcie pod butem przymocować podkłady, uniemożliwiające przylepianie się w tem miejscu śniegu. Zwykle używa się do tego kawałków gumy, linoleum lub blachy.

Najbardziej rozpowszechnione są u nas narty jesionowe, pozatem widuje się często narty, wykonane z amerykańskiego drzewa hickory. Te ostatnie są jednak znacznie droższe. Do celów myśliwskich wystarczą najzupełniej narty jesionowe. Wybierając narty, należy zwracać baczną uwagę na drzewo. Narty, wykonane z drzewa, obfitującego w sęki, są złe, ulegają bowiem łatwo złamaniu. Ważnem jest by słoje drzewne biegły w narcie równolegle do podłużnej osi narty. Początkujący narciarz zrobi najlepiej, jeśli przy kupnie poprosi o radę doświadczonego narciarza.

Nie należy kupować nart zbyt długich. Jako zasadę przyjąć się powinno taką długość narty, by postawiona na podłodze sięgała swym końcem do nasady dłoni. W ostatnich czasach bardzo modnemi stały się narty bardzo wąskie: używane są przez zawodników do biegów. Do celów turystycznych i myśliwskich narty takie nie nadają się. Narta przeznaczona do celów myśliwskich winna mieć w najszerszem miejscu swego przedniego końca 9 do 11 cm. szerokości, w środku (pod butem) 7 do 8 cm., w końcu 7,5 do 9 cm.

Bardzo ważną rzeczą jest konserwacja nart. Górna powierzchnia nart już przy wyrobie powleczona jest lakierem, co ją zabezpiecza w stopniu zupełnie dostatecznym. Dolna powierzchnia nowej narty nie jest jednak niczem powleczona. Przed użyciem należy więc tę dolną powierzchnię odpowiednio zaimpregnować. Do impregnacji używamy teru, w który należy się zaopatrzyć przy kupnie nart. Impregnować należy na gorąco. Najlepiej nadaje się do tego celu palnik benzynowy (tak zwana lampka do lutowania). Palnikiem tym nagrzewamy powierzchnię narty, a następnie smarujemy terem. Nałożywszy warstwę teru znów przeciągamy po nim palnikiem i przy pomocy korka wcieramy ter, względnie rozprowadzamy go równomiernie po całej powierzchni.

Wyruszając w teren, smarujemy zawsze dolną powierzchnię narty tak zwanym smarem zjazdowym. Smar ten czyni powierzchnię narty śliską i uniemożliwia przylepianie się śniegu. W równinach smar ten jest zupełnie wystarczający i innego używać nie należy. Dostać go można w każdym sklepie sportowym. W górach natomiast konieczne są i inne smary, takie mianowicie, które ułatwiają podchodzenie. Smarów tych jest bardzo wiele gatunków — na rozmaite śniegi i temperatury. Są jednak i smary do podchodzenia mniej więcej uniwersalne i takich w początkach karjery narciarskiej przedewszystkiem używać należy.

Po skończonym sezonie zimowym należy narty odpowiednio zachować do przyszłych śniegów. W tym celu w przednim i tylnym końcu związujemy narty tak, jak to pokazuje ryc. 4-ta, zaś w środku kładziemy drewniany klocek grubości 5 cm. Takie przechowanie nart zapobiega ich spaczeniu.



Ryc. 4.

Celem niniejszego artykułu jest tylko zwrócenie uwagi myśliwych na narty i podkreślenie tej ważnej roli, jaką mogą odegrać (i bezwątpienia odgrywają) w naszem myślistwie. Jak kapitalne znaczenie mają one pod tym względem w górach, sam się o tem przekonałem. Co do równin, to nie mam doświadczenia, nie wątpię jednak o ogromnej użyteczności nart i w tym terenie. A może kto z naszych myśliwych kresowych używa już nart do polowania? Jeśli tak, to niechże podzieli się z nami swemi uwagami na ten temat.

Na tem kończę. Nie podaję nawet najprostszych wskazówek do nauki jazdy na nartach, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Zainteresowanych odsyłam do podręczników narciarstwa, które można dostać w każdej księgarni. Zaznaczam tylko, że jazda po równinie jest nadzwyczaj łatwa, tak, że po kilku godzinach ćwiczeń nawet największy niezgrabiarz może się posuwać dość sprawnie, a po kilku dniach każdy staje się sprawnym narciarzem. Rzecz inna w górach. Tu i podręcznik nie pomoże. Koniecznem jest zapisanie się na kurs, a potem już ciągły trening, który ostatecznie doprowadza do zupełnego opanowania nart.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



W DZICZEJ KNIEI.

Sezon zajęczy ma się ku końcowi, a że było ich w tym roku dużo, nastrzelali się ludziska tych biednych szaraków, aż do obrzydliwości.

Śniegi tymczasem zawitały obfitsze w nasze strony, postanowiliśmy tedy zająć się dzikami, które niestety nie są u nas tak łatwe do spotkania. Chociaż bowiem lasy nasze przedstawiają doskonałe dzicze ostoje, a, sąsiadując z dużemi lasami państwowemi, gdzie dzików jest sporo, mogłyby nam dawać często przyjemność ich widzenia, to jednak likwidowane dopiero obecnie po długich ceregielach serwituty, nie dozwalają na trzymanie się stałe tak lubiącego ciszę i spokój zwierza. Tem większa jest tedy emocja, gdy zjawi się wreszcie jakaś sztuka i da się otropić.

Kilkakrotnie już dawano nam znać o dzikach, które się łaskawie u nas na dzień zatrzymały, jeździliśmy do lasu, wystawali godzinami na różnych ich wekslach, zawsze jednak kończyło się tylko na dobrem zmarznięciu, dzika zaś widzieli w najlepszym razie gajowi.

Dostaję wreszcie pewnego styczniowego dnia telefon, że jest duży dzik. Wybieramy się natychmiast z panem Stefanem i jazda do kniei.

Szeroką drogą wśród wysokiego lasu suną cicho sanie, jakby korytarzem, obramowanym wyniosłemi sosnami o gęstem świerkowem podszyciu. Śnieg przy-

Co cieńsze gałęzie, a nawet całe drzewka, nie mokrył wszystko grubym całunem.
gąc się oprzeć zbytniemu ciężarowi, przygięły się do samej ziemi, tworząc najrozmaitszego kształtu łuki i arkady.

Cisza panuje w powietrzu, a ostre słońce przy kilkustopniowym mrozie lśni się miljardem iskier w kryształkach śniegowych.

Świat, jak z bajki, bajeczne takoż mamy humory.

Jesteśmy właśnie w dziczej kniei i rozważamy sobie po cichu, jak się też dzisiaj przedstawiają szanse spotkania z tak dawno upragnionym zwierzem. Emocja o tyle większa, że otropiony dzik jest, jak meldował gajowy „tyli, co koń".

Jadąc, przyglądamy się bacznie wszelkim napotkanym po drodze tropom, które po wczorajszym śniegu skrupulatnie zostały przez knieję zarejestrowane. Znać sporo szaraków, trafia się od czasu do czasu lis, to znów rudel sarni przeszył gościniec kilkoma ściegami delikatnych tropów. Tu i ówdzie znać wiewiórkę, jak przechodziła od jednej sosny do drugiej. Wszystko to jednak konstatujemy tylko przelotnie, szukając oczyma upragnionego tropu zapowiedzianego odyńca.

Jest wreszcie i dzik. Pierwszy zobaczył go furman i, zatrzymawszy konie, pokazuje nam batem, dodając szeptem, że „musi silna sztuka, kiej tak daleko racice stawia od siebie".

Nie zatrzymujemy się jednak dłużej, by czasu nie tracić i stanąć jaknajprędzej w umówionem miejscu, gdzie czeka nas nadleśniczy z gajowymi.

Jakoż są i oni. Krótka narada, gdzie leży, jak pójdzie, gdzie zająć stanowiska, — i ruszamy czemprędzej, bo gajowi niebawem wejdą w miot. Przydałby się nam teraz pies, ale, pomimo dosyć energicznych poszukiwań, nie mogliśmy jakoś zdobyć odpowiedniego kundla.

Wiemy z doświadczenia, jakie są dzicze przechody, jak przychodzą z państwowych lasów i którędy najczęściej wracają.

Tym razem dzik leży w takiem miejscu, że po ruszeniu najprawdopodobniej pójdzie przez wąski pas pól chłopskich do drugiego naszego kompleksu leśnego. Zajeżdżamy przeto na brzeg owych pól i zajmujemy stanowiska. Jakież jest moje przerażenie, gdy spostrzegam świeży trop tego dzika tuż koło zajętego przezemnie miejsca. Więc jednak nie doleżał. Musiało go coś spłoszyć i odszedł, tak, jakeśmy przewidywali, przez owo pole.

Teraz pytanie, czy się aby zatrzyma dalej, czy też pójdzie prosto do państwowego lasu.

Daję znać sąsiadom, dopadamy sanek, czekamy chwilkę na gajowych, którzy, idąc tropem, ukazują się niebawem na brzegu lasu, będąc przekonani, że dzik przez nich teraz został ruszony i dziwią się, że nie było strzału.

Nie czas na namysły. Jest jeszcze jedno miejsce o jaki kilometr odległe, gdzie las jest przecięty smugiem, który także leży na dziczym szlaku. Jedziemy tam, a gajowi idą dalej tropem. Stajemy na owym smugu. Ja pośrodku, z prawej pan Stefan, z lewej nadleśniczy.

Dzik powinien wyjść pomiędzy mną, a p. Stefanem, mam więc specjalnie w tę stronę zwróconą uwagę. Przedemną jest gęsty, młody las, tak, że dalej, niż na 20 — 30 metrów nic nie można zobaczyć. Zato strzał z tyłu dosyć wygodny, bo przestrzeń goła około 40 metrów i dopiero ściana dużego lasu. Ponieważ nie znaleźliśmy śladów dzika wzdłuż naszych stanowisk, jesteśmy prawie pewni, że zatrzymał się w za-

gajniku i wyjść na nas musi. Pewność ta zdwaja moją emocję, to też trzymam sztucer w pogotowiu, choć palce marzną niemiłosiernie.

Oczekiwanie nasze trwa już blisko pół godziny. Zaczynam się niepokoić, czy zobaczymy zwierza, który mógł przecież cofnąć się, albo wymknąć bokiem.

Raptem słyszę od strony nadleśniczego dwa szybkie strzały i na polanę wypada na jakie 100 m. odemnie wielka czarna masa, sunąc dużemi susami.

Zwrot momentalny w tę stronę i już się chcę składać, gdy widzę złożony wizjer na szynie sztucera. Zgrabiałe od zimna palce nie mogą sobie dać z nim rady, a tu jeszcze kilka sekund i tak oczekiwany zwierz skryje się w lesie.

Udaje mi się wreszcie uporać z wizjerem, składam się w pośpiechu i, prawie nie mierząc, strzelam dwa razy. Po drugim strzale zwierz lekko markuje, wpada jednak do lasu i staje na brzegu.

Myśl, jak błyskawica, przebiega mi przez głowę, że trafiona śmiertelnie sztuka runie zaraz na ziemię. Dla pewności ładuję sztucer, z przerażeniem jednak widzę, chowającego się w lesie odyńca.

Biegniemy wszyscy na miejsce strzałów. Nadleśniczy już zdążył stwierdzić swoje pudła i moje nie lepiej się przedstawiają. Farby nie znać nigdzie, przy drugim strzale zaledwie nieco szczeciny. Widocznie dostał tylko lekką obcierkę i ujdzie nam teraz cało.

Nasze szczęście, że do lasów państwowych ma jeszcze z pięć kilometrów, a drogę jedną tylko.

Znów siadamy na sanie i suniemy szosą, co sił w koniach to miejsce, gdzie przypuszczalnie będzie go można spotkać. Po drodze nadleśniczy opowiada, że dzik wyszedł na niego na 20 m. i stanął. Klapnął mu jednak nabój w prawej kulowej lufie buchsflinty i, nim zdążył drugi założyć, dzik ruszył ostro, następstwem czego były dwa gorączkowo zrobione pudła.

Takie już nasze szczęście. Tam nabój klapie, tu się wizjer składa. Jak pech, to pech. Nie tracę jednak nadziei, bo droga, obrana przez dzika jest dla nas wyjątkowo pomyślna. Przejeżdżamy jakie cztery kilometry i zbliżamy się do wąskiego pasa naszych zagajników, które przecina szosa. Patrzę też z natężoną uwagą.

Wtem przebiega w oddali zając, za nim drugi i trzeci. Zastanawia mię to. Toć zające te muszą być przez kogoś, albo coś ruszone. Czyżby to może był nasz uciekinier? Każę jechać galopa, bo mamy do tego miejsca jeszcze ze trzysta metrów. Dla pewności biorę sztucer do ręki i trzymam w pogotowiu naboje. Aby tylko zdążyć. Po krótkiej chwili takiego cwału widzę już wyraźnie dzika, jak wydostaje się powoli na szosę. Każę furmanowi stanąć i wyskakuję na zlodowaciałą drogę, ledwo nie zrobiwszy na niej kilku koziołków.

Jeszcze chwila i potwór staje na szosie. Już się składam, a tu widzę z drugiej strony idących dwuch ludzi. Strzelać ani sposób. Staram się jednak opanować i strzelić dokładnie, jak tylko dzik ruszy. Po chwili namysłu zwierz rusza rzeczywiście i to ostrym kłusem. Celuję, jak można najdokładniej, choć mam najmniej 150 m. i strzelam. Tym razem dzik markuje bardzo wyraźnie, wpada jednak w zagajnik i ginie nam z oczu.

Nauczony doświadczeniem, nie badam strzału, bo zagajnik ten ma zaledwie ze 20 ha i kończy się polami chłopskiemi, skąd już tylko kilometr do lasu państwowego.

Wołam na sanki i objeżdżamy zagaj z drugiej strony, rozumując, że, jeśli dzik leży, to go po tropie dojdą, jeśli zaś źle strzelony pójdzie dalej, to na tem polu muszę go mieć na strzał. Myśl moja okazuje się dobra, bo ledwom tylko zajechał z drugiej strony, widzę mego dzika, sadzącego cwałem przez zagony. Idzie wprawdzie ciężko, niemniej jednak może uciec. Siadam na sanie i jadę równo z nim, bo strzelać teraz nie mogę, gdyż o kilometr za dzikiem ciągnie się wieś i do tego w dole, tak, że kula łatwoby tam mogła się zabłąkać. Możność strzału będę miał przed samym rządowym lasem. Czekam tedy na tę chwilę, jadąc saniami przez chłopskie zagony, z których w wielu



Druga kula uspokoiła go na zawsze... Fot. K. Komierowski.

miejscach wiatr pozgarniał śnieg. Konie potykają się w zawianych bruzdach. Ktoby to jednak pytał wtedy o drogi. Widzę dzika idącego równolegle ze mną i emocja, czy się go zdąży strzelić w porę, wszystkie inne myśli pochłania.

Las już niedaleko. Kończy się wieś w perspektywie, ustępując miejsca naszym folwarcznym polom. Zeskakuję z sań i strzelam dwa razy na jakie 80 m., jednak znów obydwa pudła.

Rozpacz mnie ogarnia. Zaczarowany chyba. Wyjmuję gorączkowo puste łuski, sięgam ręką do kieszeni... same wystrzelone naboje! Włosy mi stają dęba na głowie, a to pech! Sięgam do drugiej kieszeni. Jest jeszcze jeden nabój, kładę go do komory. Dzik już prawie o 20 metrów od lasu, a najmniej 150 odemnie. Chwila skupienia — musi zostać. Ciągnę za cyngiel, pada strzał i... zwierz ruluje w ogniu.

O dzięki Ci, Święty Hubercie! Nareszcie go mam.

Podbiegam uratowany. Drugimi sankami podjeżdża pan Stefan z nadleśniczym, których z pośpiechu zostawiłem na szosie, a, którzy widząc mój finisz z dzikiem, niemniejsze przechodzili emocje.

Niezła sztuka, choć w bujnej imaginacji większym się wydawał. Szukamy kul. Jedna kark przebiła, to moja pierwsza zgórowana. Jedna płuca ponad komorą na wylot, to ta na szosie, aż dziw,, że jeszcze po niej tak długo mógł iść. Wreszcie ostatnia, z ukosa na samą komorę strzelona, powaliła go na miejscu. Znajdujemy jeszcze jedną, która scyzorykiem lekko daje się wyciągnąć, to zwyczajna okrągła — nadleśniczego drugi strzał z gładkiej lufy. Skórę tylko przebiła zaraz za łopatką i w mięśniach utkwiła.

Stoimy tedy wkoło dzika, reasumując wrażenia i odpoczywając po trudach szalonej gonitwy, która, jak zaczęła się na peryferjach naszych lasów, tak trwała przez siedem kilometrów po to, by zwierz padł o parę kroków od państwowej granicy i jednocześnie o kilometr od naszego domu, do którego też, usadowiwszy dzika na saniach, dojeżdżamy tryumfalnie.

Zachęcony powodzeniem, próbuję potem kilkakrotnie szczęścia z dzikami, nie mogąc jednak przyjść do strzału. To zbyt późno dają znać i, nim zjedziemy do lasu, już go ktoś wypłoszy, co przy naszych nieszczęsnych serwitutach jest na porządku dziennym, to znów obiera sobie legowisko w takiem miejscu, że nie sposób trafić, jak wyjdzie i zwykle przechodzi zupełnie inaczej, niż jesteśmy na to przygotowani.

Po kilku dniach takich niefortunnych łowów, mamy znów dzień pełen emocji.

Tym razem już o ósmej rano dźwięczy telefon z nadleśnictwa, że jest dzik otropiony. Załatwiam pośpiesznie różne interesy i jazda do lasu.

Dzień śliczny, pogoda świeżą bielą zasłała świat, mrozik niewielki. Stajemy z nadleśniczym we dwóch na dobrze już wypróbowanych stanowiskach. Gajowi zapuszczają się w okiścią przeciążony zagajnik i mają pędzić dziki wprost na nas. Stoję nad drogą pod starą osiką. Z powodu gęstości zagajnika strzał możliwy tylko na tej drodze. Zamarły w oczekiwaniu, staram się wycenić dzisiejsze moje szanse spotkania ze zwierzem. Wiatr mam nieco z ukosa, ale możliwy. Nieraz już ruszona sztuka tędy właśnie przechodziła. Może i będzie co z tego.

W kniei tymczasem cisza panuje zupełna. Po jakiej pół godzinie słyszę wreszcie trąbkę — to umówiony sygnał, że dzika ruszono. Ściskam mocniej sztucer i podwajam uwagę. Jakoż niebawem słyszę wyraźnie łamanie gałęzi, które na chwilę cichnie. Znów słychać to coś. Widocznie się zbliża, ale powoli i przystaje.

Ani chybi, tylko dzik. Musi być gdzieś niedaleko. Po chwili słyszę już wyraźnie tupot zwierza, lecz cóż to — oddala się. Wszak nie mógł ani dojrzeć, ani zwietrzyć z tej strony.

Cisza zalega. A to pech! Gajowych też nie słychać.

Znowu sygnał. Tym razem znacznie bardziej w lewo, bliżej sąsiedniego stnowiska. Oczekuję stamtąd strzału, daremnie. Znów głos mnie dochodzi z głębi lasu: „Panowie pod olszynę". Ach, więc tam się chcesz przedostać. Biegnę, jak się tylko da w stronę znanej mi dobrze olszyny, staję na możliwie najlepszem stanowisku i czekam. Upływa coś koło kwadransa i nic. Po dobrej chwili znów słychać głos: „Panowie na miejsca". Cóż to znowu? Zwarjował ten dzik, czy też gajowym się pomieszało w gąszczu. Sypię jednak na moje dawne miejsce. Ledwom stanął, wypada z lasu ruda postać lisa. Chwila namysłu, czy strzelać, czy też nie. Myślę sobie jednak, że lepszy wróbel w ręku (niebardzo on jeszcze w ręku) i strzelam. Lis przeszyty kulą, ruluje na środku drogi.

Cieszy mnie trochę ten strzał, ale i żal też dzika, który już teraz napewno nie wyjdzie tędy.

Po jakimś czasie wychodzi jeden z gajowych, cały obsypany śniegiem. Sądził, że strzelałem do dzika i chybiłem, bo przed chwilą spotkał się z nim, jak dużemi susami mignął mu pod nosem i uszedł w bok. Już go dzisiaj nie zobaczymy — powiada — nie zatrzyma się, aż w państwowym, a nie zajedzie, jak tamtemu.

Wielkie jest też jego zdziwienie na widok leżącego lisa, a ja niewyraźnie się czuję, bo zwierz ani chybi byłby tu wreszcie wyszedł, tymczasem spłoszyłem go przedwczesnym strzałem.



Trofea ostatnich dni sezonu. Fot. K. Komierowski.

Dobry zresztą i lis — pocieszam się, jak mogę.

Dziki się tymczasem przestały u nas pokazywać, a jeśli przyszły, to tylko na noc i wracały do lasów państwowych.

Jużem nawet stracił nadzieję spotkania się w tym roku z tym zwierzem, gdy najniespodziewaniej dostaję zaproszenie na polowanie jednego z okolicznych towarzystw łowieckich.

Przyjąwszy skwapliwie owo zaproszenie, ruszam do naszego stołecznego grodu, Lublina, by udać się dalej koleją wraz z całą kompanją. Przyjeżdżamy późną nocą do małej, odludnej stacyjki i dalej chłopskiemi saniami do przygotowanego noclegu w jednej z chat, stojących opodal terenów, które jutro mamy opolować.

Kładziemy się pokotem na rozesłanej wkoło słomie i, przykrywszy czem kto mógł, staramy się zasnąć, by choć jako tako odpocząć przed czekającemi nas jutro trudami.

Nie łatwo to jednak poddać się Morfeuszowi w myśliwskiej kompanji. Ten i ów zaczyna z ferworem opowiadać kawały, a nic nie jest tak zaraźliwe, jak właśnie myśliwskie anegdoty. Kto się najbardziej do

snu szykował, najwięcej ma w końcu do opowiadania. Sypią się tedy w mroku wiszącej u pułapu zakopconej lampki mniej, lub więcej pieprzne historje, którym od czasu do czasu wtórują wybuchy spazmatycznego śmiechu. Ktoś bardziej znużony zaczyna wreszcie chrapać, co konsternuje współlokatorów, bo już tylko cztery godziny zostaje do świtu, a skoro świt mamy ruszyć. Jeszcze się tam ktoś odzywa z nowym dowcipem, lecz słysząc dochodzące coraz to z innego kąta sapanie śpiących towarzyszy, daje za wygraną i sam zasypia.

O świcie budzi nas trąbka, zrywamy się na równe nogi, i, kompletując toaletę myśliwską, odświeżamy się jednocześnie paru chluśnięciami zimnej wody, które nam gościnny gospodarz aplikuje przed gankiem.

Po krótkiem śniadaniu jesteśmy już w lesie. Humory doskonałe, bo dzików zapowiedziano nam dużo, a strzelać możemy także i lisy. Knieja ma dość zachęcający widok. Tropy dzicze spotyka się w wielu miejscach, gdzieniegdzie zaś przy drodze widnieją świeże ślady ich nocnego rycia.

Losujemy stanowiska i w ciszy zachodzimy na linję pierwszego miotu. Pierwszy strzał naturalnie tylko do dzika.

Nie brałem dotąd nigdy udziału w większem polowaniu na dziki. Emocje tu są nietylko z tego powodu, czy uda się coś zabić, ale czy wogóle dużo padnie i jakie sztuki.

Naganka rusza, ale jest jeszcze daleko. Po krótkiej chwili wpada na mnie kilka sarn. Widzę wśród nich całkiem niezłego kozła. Wyglądają tak malowniczo, że aż przykro byłoby do nich strzelać. Może to dziwne, ale mi strzał do rogacza na nagance w zimie nie sprawia żadnej satysfakcji, natomiast podejście, czy też podjazd w lecie zaliczam do bardzo przyjemnych polowań. Potrzeba tu poprostu innej oprawy przyrody, a naturalnie w dodatku zostających na pamiątkę parostków. Sarny przesuwają się powoli i, skoczywszy przez linję, giną po drugiej stronie, jak duchy leśne.

Naganka znacznie już bliżej, nikt jednak nie strzela. Strzały będą trudne, bo linja wąska, las zaś, choć dosyć duży, gęsto podrośnięty świerczyną. Stanowiska nasze są dosyć blisko, bo najwyżej osiemdziesiąt metrów odległe od siebie.

Wtem słyszę łamanie gałęzi z typowemi przystankami. Najwyraźniej zbliża się do mego stanowiska dzik. Słyszę już charakterystyczne fukanie i coś staje mi przed samą linją za gęstym świerkiem o jakieś dwadzieścia metrów odemnie. Jestem tak przejęty, że serce czuję wprost pod gardłem. Sztucer zwrócony mam w kierunku owego czegoś i czekam. A tu cisza, aż w uszach dzwoni.

Zda mi się, że wieki tak czekam, gdy słyszę znowu fuknięcie i, kłapiąc szablami, wyjeżdża z pod owego świerka ogromny odyniec. Chwila skupienia, rzut bronią i zwierz ruluje w ogniu po przeciwległej stronie linji.

Radość mi dech zapiera. Pilnuję mego dzika, żeby jeszcze nie wstał. Dobrze jednak dostał, bo po kilku wierzgnięciach uspokaja się i leży bez ruchu. Stać tymczasem jeszcze trzeba póki naganka nie wyjdzie. A może zresztą jaki dzik będzie, nigdy bowiem człowiekowi nie dosyć. Na drugim końcu stanowisk padają dwa strzały, kilka zajęcy przeskakuje linję i naganka wreszcie wychodzi.

Dzików, jak się okazało, było więcej, ale uderzyły na flankę, zabity jednak był według słów miejscowego gajowego największym ze spotkanych ostatnio, to też trzeba prawdziwego szczęścia, że się mnie akurat dostał. W ciągu dnia szczęście to okazuje się jeszcze większe, bo widzimy do samego wieczora tylko jednego dzika i to po wyjściu naganki na linję, tak, że strzał do niego jest niemożliwy. Padają poza tem dwa lisy i mocno zmęczeni, a w większości rozczarowani wracamy na stację, kończąc tak szczęśliwy dla mnie dzień.

Dostawszy się późno do domu, syt powodzenia, zasypiam kamieniem, obiecując sobie dokładny wypoczynek i nieprędkie wstanie na drugi dzień. Tymczasem skoro świt budzą mnie pilnym listem najbliższego sąsiada, proponującego polowanie na dziki. Jakże się tu oprzeć pokusie?

Niebawem jesteśmy obydwaj z gościnnym gospodarzem w lesie. Dzików znać sporo, tereny jednak są do ich wypędzenia bardzo trudne, gdyż trzymają się przeważnie w zagajnikach. Stajemy na stanowiskach, a do miotu wchodzi dwóch gajowych z psem. Hamy otropioną dużą bardzo sztukę i kilka wycinków. Wobec zabicia już dwóch dużych dzików w ostatnich dniach, nie łakomię się na młodzież i oświadczam, że strzelać będę tylko do pojedynka.

Wnet słychać ujadanie psa. O podchodzeniu mowy niema, bo gąszcz taki, że przejść trudno, a cóż dopiero dojść do strzału. Głos psa dochodzi mnie od czasu do czasu, ale z różnych stron. Dziki najwidoczniej nie chcą wyjść i kręcą się wciąż w tym samym ostępie. Po dwóch godzinach takiego przepędzania ich z miejsca na miejsce, wychodzi do mnie gajowy i oświadcza, że odyniec poszedł w tył, a reszta nie daje się wypędzić. Mnie ten tylko jest potrzebny, więc skoro wyszedł z gąszcza, łatwiej uda się go teraz w dogodniejszem miejscu objechać, bo tereny duże i do granicy wszędzie daleko.

Zajeżdżamy pośpiesznie na nowe stanowiska, a gajowi z psem zostają na tropie. Dzik jeszcze nie przeszedł, może więc go zdybiemy.

Tym razem nie czekam dłużej, niż pięć minut. Migają mi dwa szaraki i za chwilę widzę w drągowinie dzika. Sztuka duża, szable błyszczą mu zdaleka. Idzie truchtem z ukosa na linję. Czekam go na niej z kulą. Strzał powinien być dobry, odległość maksimum sześćdziesiąt metrów. Zatrzymuje się jednak bestja o kilka kroków od linji, strzelać nie mogę, bo gałęzie zbyt go przysłaniają i boję się posuć zabawy.

Po małym namyśle zwierz zwraca się ku mnie i rusza na sztych wprost do mego stanowiska. O, to już gorzej. Na sztych strzelać niedobrze i niebezpiecznie, zresztą zbyt gęsto na pewny strzał, a jak wypadnie pod same nogi najłatwiej spudłować. Przeżywam chwile pełne emocji, tem bardziej, że odyniec staje o dwadzieścia metrów odemnie, jakby namyślając się co dalej robić. Co będzie, jak wróci w miot, a strzelać wciąż nie mogę. W każdym razie wolę czekać na lepszy strzał na drodze.

Wychodzę na tem nienajgorzej, bo zwierz, poczuwszy mnie wyraźnie, z głośnem fukaniem zwraca się na miejscu i dużemi susami wali przez linję. Strzał mam tak szybki, że o celowaniu dokładnem niema nawet mowy, tem większa tedy radość, gdy dzik ruluje momentalnie. Tłucze się potem na miejscu, usiluje wstać, posyłam więc drugą kulę, która uspokaja go na zawsze.

Podchodzi gospodarz i gratuluje mi tak ładnego okazu, bo rzeczywiście zdobycz to niepowszednia, mniejszy trochę od poprzedniego, ale szablami tamtego bierze. Tak więc dzięki łasce Św. Huberta udaje mi się w krótkim czasie położyć trzy dobre dziki, z których najmniejszy ważył 160 kg. Jest już najwyższy czas, gdyż nazajutrz czeka mnie wyjazd na dłuższą kurację, to też bez żalu kończę sezon myśliwski, wzbogacony tak poważnemi trofeami, oraz powyżej opisanemi wzruszeniami.

KONSTANTY KOMIEROWSKI.



W POSZUKIWANIU ARGALI.

(OVIS AMMON).

Z pośród zwierzyny górskiej najbardziej pożądane, najbardziej tajemnicze są stanowczo argali (Ovis ammon) i gdy się raz spróbowało łowów na nie, wszelkie inne w tym rodzaju bledną i tracą swój urok. W przeciągu dwóch miesięcy trzy razy strzelać do nich, chybić, a jednak w ostatniej niemal chwili, zdobyć wspaniałą parę rogów, jest rzeczą rzadką — to się nam jednak zdarzyło w zeszłym roku, gdyśmy polowali na granicy Tybetu w Pazang La. Wyruszyliśmy na początku sezonu (byliśmy z pewnością pierwszą wycieczką, która wybrała się do Pazang La przed połową czerwca). Wiatr z Tybetu był tak przeraźliwie zimny, że przemarzliśmy do szpiku kości, wspinając się na szczyty całkiem niepotrzebnie, gdyż po kilku dniach musieliśmy dojść do przekonania, że na wysokości 18.000 stóp nad poziomem morza, nie było o tej porze żadnej zwierzyny. Mądre zwierzęta wolały chronić się od zimna w dolinach. Straciliśmy już wszelką nadzieję, gdy pewnego dnia, wracając do domu o zachodzie słońca, zaskoczeni byliśmy niespodziewanym widokiem: na pomarańczowem tle nieba rysowała się ostro sylwetka argali, który nam się wydał olbrzymim, jak słoń, a za nim postępowały dwa inne, mniejsze. Nikt z nas nie widział nigdy tych wspaniałych zwierząt. W takim wypadku łatwo można stracić głowę! Przedewszystkiem stracił ją widocznie nasz przewodnik, bo rzucił się naprzód, aby mieć lepsze miejsce do strzału, ale zrobił tyle hałasu ciężkiemi, podkutemi butami, że mógłby wystraszyć całe stado! Naturalnie barany znikły w oka mgnieniu i po chwili zobaczyliśmy je gdzieś w dole, jak przechodziły na drugą stronę strumienia. Próbowaliśmy strzelać, pomimo, że było bardzo daleko, — naturalnie napróżno. Z bólem serca przyglądaliśmy się, jak galopowały na sąsiedniem wzgórzu i wkrótce ukryły się za jakąś skałą. To był fatalny dzień i nie mogliśmy się pocieszyć, pomimo, że właściwie żadne z widzianych rogów nie mogły mieć więcej, niż 36 cali długości. Pierwszy widziany argali wydaje się nam zawsze olbrzymim!

W dwa dni potem ta sama tragedja! Około 10-ej zrana stanęliśmy nad brzegiem głębokiej rozpadliny, wysłanej zieloną trawą i raptem wzrok nasz, błądząc gdzieś daleko wdole, napotkał nieoczekiwane, a tak, upragnione zjawisko: sześć baranów pasło się spokojnie, a dwa z pomiędzy nich miały wspaniałe, olbrzymie rogi! Pamiętając ostatnie doświadczenie, mąż mój polecił mi szeptem, pozostać na stanowisku, a sam możliwie najciszej począł schodzić w dół, aby zbliżyć się na odległość strzału. Po jego odejściu położyłam się na ziemi i, drżąc z oczekiwania i niepokoju, śledziłam przez lornetkę każde poruszenie wspaniałych zwierząt, które w tej samej chwili zeszły z trawy i powoli wspinały się pod górę, aby spocząć wśród skał. Mąż mój tymczasem zbliżał się już do pastwiska, ukryty za ścianą olbrzymich głazów, które zasłoniły mu widok. Ale gdy podniósł ostrożnie głowę, aby wyjrzeć z poza skały, argali nie było! Zdumiony, wychylił się jeszcze bardziej i dostrzegł je nareszcie, ale wtedy zwierzęta na dole rzuciły się do ucieczki w tak szalonym galopie, że strzały męża nie trafiły żadnego; gdyśmy nadbiegli, spodziewając się wspaniałej zdobyczy, zastaliśmy go siedzącego na skale, jak uosobienie melancholji! Czarę goryczy musieliśmy wypić do dna, gdy po chwili dumna sylwetka starego barana zaryso-

wała się, na horyzoncie, wysoko nad nami. Patrzał z góry na swych nieprzyjaciół z niewysłowioną pogardą!

Tubylcy pocieszali nas jak mogli: to były liche okazy, niewarte zmarnowanych nabojów. Widocznie sądzone nam było znaleźć prawdziwie wspaniałe argali, gdzieś dalej, bo tu miejscowe duchy nie były nam przyjazne. Nazajutrz zwiniemy namioty i poszukamy szczęśliwszych okolic. Wróciliśmy do domu w cokolwiek lepszym humorze.

Ale to nie był koniec naszych kłopotów.

Nazajutrz wyruszyliśmy nad granicę Tybetu i rozbiliśmy namioty w dolinie, pełnej prześlicznych, purpurowych kwiatów i różnego rodzaju zwierzyny. Ale to nie było to, czego szukaliśmy.

Co krok spotykaliśmy śliczne, tybetańskie gazelle goa (Gazella picticaudata), a nawet tak upragnione argali — ale samice z małemi, nigdzie żadnego barana! Jednego ranka naliczyliśmy pasących się w dolinie kilka tuzinów owiec i jagniąt, ale, nauczeni doświadczeniem, zwróciliśmy kroki w przeciwną stronę, bo stare samce unikają starannie miejsc, gdzie przebywają samice z małemi. Nareszcie pewnego wieczora spostrzegliśmy daleko na wzgórzu dwa lub trzy duże barany i mąż mój poszedł na zwiady, zostawiając mnie samą w obozie.

Niema zwierzyny trudniejszej do podejścia, jak argali. Ich wzrok i słuch są tak nadzwyczajne, że trudno się zbliżyć nawet na dwieście lub trzysta yardów. O wschodzie słońca mąż mój ujrzał z bijącem sercem cztery argali o jakie tysiąc yardów od niego, pasące się spokojnie nad brzegiem strumienia. Jeden był stary, z olbrzymiemi rogami, drugi średniej wielkości, a dwa ostatnie jeszcze bardzo młode. Nie było możliwości je podejść, mąż mój wyciągnął się więc na ziemi, licząc na to, że będą się ku niemu zbliżały. Tak się też stało, ale niestety, po przebyciu jakich stu yardów, one też położyły się na trawie dla odpoczynku. Starsze zachowywały się spokojnie, ale młode, jak zwykle, kręciły się bezustannie, rozglądając się podejrzliwie dokoła. Nareszcie, gdy spoczęły na chwilę, mąż mój zaczął powoli spuszczać się w dół, pełznąc jak wąż, bez szelestu, w śmiertelnym strachu, aby nie strącić najmniejszego kamyczka. Napróżno! Gdy już był o 500 yardów, argali dostrzegły go i w oka mgnieniu znikły w dolinie, dodając jeszcze jedną tragedję do długiej listy naszych niepowodzeń.

Jeszcze w dodatku nie wywędrowały gdzieś dalej, ale zająwszy strategiczną pozycję na wzgórzu, przyglądały się dalszym poczynaniom, jakby drwiąc z biednego myśliwego!

Tego wieczora mieliśmy ochotę wrzucić nasze dubeltówki do rzeki i wracać do domu.

Ale zrana optymizm wziął górę nad chwilowem rozgoryczeniem i wybraliśmy się na bezowocną, jak się zdawało, wędrówka za temi czterema ostrożnemi i podejrzliwemi baranami. Najprzód obejrzeliśmy ślady z dnia poprzedniego i spotkaliśmy po drodze dwa młodziutkie argali, które pozwoliły nam zbliżyć się o 50 yardów. Wyglądały bardzo zaciekawione. Skonstatowaliśmy potem nieraz, że młode są bardzo niepłochliwe i odnoszą się do człowieka jakby z życzliwą ufnością. Razu jednego dwa małe podeszły do nas na trzydzieści kroków, ale niestety, było za ciemno, aby je sfotografować!

Po długiej wędrówce znaleźliśmy się na wyniosłości, skąd był rozległy widok na dolinę, jakby wysłaną miękką, zieloną trawą, i, o radości! dostrzegliśmy przez lornetkę na przeciwległem wzgórzu cztery barany, śpiące na skale! Aby dostać się do nich, trzeba było zrobić jakie cztery lub pięć mil wokoło. Nie tracąc chwili, zeszliśmy w dolinę, wdrapaliśmy się na sam wierzchołek wzgórza, tak, aby skała, na której spały argali, znalazła się pod nami, i wtedy zaczęliśmy powoli i ostrożnie spuszczać się w dół, chowając się za wystające głazy. To była piekielna przeprawa; w dodatku drżałam wprost z podniecenia i strachu, aby nie spłoszyć zwierząt. W pewnej chwili zatrzymaliśmy się, by wyjrzeć z poza głazów i o zgrozo! pod nami nie było starych samców, tylko stado złożone z dziewięciu młodych argali, pasło się spokojnie w dolinie. Rozpacz nas ogarnęła; może nam się tylko wydało, że widzieliśmy duże, rogate łby, a to były właśnie te nieznośne jagnięta, do których nikt strzelać nie myśli! Już chciałam się zerwać i krzyknąć, aby je spłoszyć, żeby w ten sposób zemścić się na nich, ale w tej chwili mąż mój, który wstał, aby się rozejrzeć po okolicy, przysiadł gwałtownie, chwytając za dubeltówkę. Na lewo pod nami, zakryte wystającą skałą, były cztery stare argali. Szły powoli o jakie 300 yardów i za chwilę miały zniknąć za olbrzymim głazem! Teraz lub nigdy! Mąż mój wycelował starannie, wypalił, a zaraz po nim ja. Stary, największy baran zwalił się na ziemię, a jego towarzysze znikli w szalonym pędzie na przeciwległych wzgórzach.

Wspaniała była sztuka! Tylko futerko było liche, miejscami zupełnie wytarte. Dlatego argali trzymają się w lipcu przeważnie w dolinach, gdzie jest cieplej niż na szczytach. Co mnie uderzyło najbardziej, to fakt, że olbrzymia, masywna głowa nie wyglądała bynajmniej proporcjonalnie.

W następnym roku żyłka myśliwska ściągnęła nas znowu na to samo miejsce. Tym razem los nam sprzyjał i argali, tak trudne do zdobycia w roku zeszłym, stały się najłatwiejszym łupem, za to dzika owca czyli Bhazal (Ovis maluza) kosztowała nas wiele trudu.

Gdyśmy o świcie wyruszyli z naszego namiotu, pierwszą rzeczą, która zwróciła naszą uwagę, były sylwetki sześciu argali na wierzchołku pagórka o trzy mile od nas. Przez lornetę widzieliśmy wyraźnie, że jeden z nich miał wspaniałe rogi. Ruszyliśmy śpiesznie, ale, gdy z trudem dobrnęliśmy na miejsce — nigdzie ani śladu argali! Godzinę całą włóczyliśmy się pośród skał, o jakie tysiąc stóp powyżej naszego obozowiska, napróżno! Nareszcie tybetańczyk, noszący za nami jedzenie i płaszcze, dostrzegł swym orlim wzrokiem barany, pasące się po drugiej stronie w dolinie. Zostawiliśmy go na czatach, a sami puściliśmy się w drogę, okrążając dolinę na wysokości conajmniej 18.000 stóp. Przyznaję, że ustałam w pół drogi, w towarzystwie młodego tybulca, który nam wskazywał drogę, zatrzymałam się, aby przyglądać się przez lornetkę dalszemu biegowi wypadków. Niektóre argali pokładły się na ziemię, inne skubały trawę, a stary samiec z olbrzymiemi rogami nie przestał jeść ani na chwilę, spędzając brutalnie z drogi każdego, kogo spotkał.

Tymczasem mój mąż zbliżył się, nawet nie bardzo się ukrywając, do stada, na jakieś dwieście kroków i celnym strzałem położył starego barana. Pozostałe pięć sztuk spoglądały przez chwilę w zdumieniu, potem puściły się pędem właśnie w moim kierunku. Gdybym nie straciła głowy i nie schowała się za skałę, z pewnością zabiłabym jednego, ale ja, niestety, zaczęłam biec na dół i spłoszyłam je niepotrzebnie. Na mój widok zatrzymały się chwilę, potem z błyskawiczną szybkością pogalopowały prosto na tybetańczyka, stojącego z naszemi rzeczami. Były o 100 yardów od niego, gdy go spostrzegły, i wobec tylu nieprzyjaciół straciły narazie głowę, nie wiedząc, dokąd uciekać. Wreszcie skręciły na prawo i w szalonym pędzie znikły w obłokach kurzu.. Mieliśmy też kilka ciekawych wypraw na goa czyli gazelle tybetańskie, które zamieszkują zwykle te same okolice, co argali. Pewnego ranka spotkaliśmy dwa kozły goa, które jednak zwietrzyły nas zdaleka i przebywszy szeroką równinę, wdrapały się na wysoką gorę, po przeciwległej stronie. Widzieliśmy je wyraźnie, bo ich białe grzbiety znaczyły się jasną plamą wśród otaczającej zieleni.

Droga była daleka i trudna, goniliśmy je jednak wytrwale i, bardzo dumni z siebie, odnaleźliśmy je w chwili, gdy ułożyły się na trawie dla odpoczynku. Dwoma strzałami położyliśmy je na miejscu, ale jakież było nasze przerażenie, gdyśmy skonstatowali po chwili, że to były samice! Okazuje się, że zdaleka można łatwo wziąć uszy gazelli tybetańskiej za rogi! Tego incydentu nie lubimy wspominać! Innym razem polowaliśmy na dużego kozła od 8-ej rano do zachodu słońca. Wymęczył nas porządnie, zanim go dostaliśmy! Spotkaliśmy go na przełęczy, ale zauważył nas od razu i po chwili zgrabnemi susami znalazł się na dole u stóp góry. Tu zatrzymał się i z niezrozumiałych dla nas powodów znów zaczął się wspinać pod górę. Po chwili znikł nam z oczu i szukaliśmy go, wszędzie napróżno. Po paru godzinach, straciliśmy wszelką nadzieję, zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy z powrotem, ale jakież było nasze zdziwienie, gdy na tej samej przełęczy dostrzegliśmy go, leżącego za kępą wysokiej trawy! Zerwał się na nasz widok i pogalopował tak szybko że po chwili był juz na sąsiedniej górze, a my nie śmieliśmy się ruszyć za nim. Drugi, mniejszy koziołek przyłączył się do niego. Po pewnym czasie puściliśmy się w drogę, tracąc je co chwila z oczu. Właściwie był to traf tylko, żeśmy je odnaleźli, tak zmęczeni i wyczerpani, że dalej chyba nie mielibyśmy sił ich gonić. Ale zwierzęta były widocznie bardzo głodne i łapczywie skubały trawę, tak, że zapomniały o ostrożności i pozwoliły nam podejść na 80 yardów. Mój mąż zabił starego, a mały stał spokojnie i patrzył na nas z ciekawością, nie rozumiejąc, co się stało.

To była ostatnia nasza wyprawa w tych okolicach. Opuszczaliśmy je z żalem, obiecując sobie na rok następny znowu do nich zawitać.

M. Z.



ŻEGNAJ, PANIE KAMILU!

Miesiąc temu otrzymałem telefon z Warszawy. Jakiś głęboki bas przywitał mnie i zapytał, czy wiem kto mówi. Chwila przeszukania w składzie pamięci słuchowej — i poznałem: — pan Kamil!

— No tak, przyjechałem niedawno na „stałe" do Warszawy (to znaczy najdalej do czasu toków głuszcowych), chciałbym bardzo zobaczyć pana, przeto ośmielam się prosić o skomunikowanie się ze mną przy najbliższej bytności w stolicy. A może gdzie zapolujemy? Może bażanty — te wasze „sławne, podmińsko-mazowieckie". Chętniebym jakiś „bukiecik" z nich uwił. Szkoda, że pan nie był łaskaw na nasze pordwy w ubiegłym sezonie, było dużo. Tak, tak — rozumiem — ciężkie czasy...

Serdecznie podziękowałem raz jeszcze za pamięć, gdyż o bytność moją na pardwach zabiegał p. Kamil u właścicieli terenów w Postawszczyźnie, wcale o to przezemnie nieproszony i sążnistym listem na tę niezwykłą wyprawę mnie zachęcał. Jakoś przypadliśmy sobie do gustu. Ostatnie, tegoroczne toki głuszcowe, razem w ostępach Woropajewskich odbywane, zbliżyły nas znacznie, a były to drugie z rzędu razem spędzone.

Na pardwy istotnie nie mogłem się wyrwać, ku memu utrapieniu — urlop mi skasowalił Kryzys...

Niestety, spóźnił się p. Kamil z przyjazdem i telefonem do mnie, gdyż bażanty już przetrzepaliśmy 7 listopada, a na drugie, na „poprawkę" niewarto było mistrza fatygować.

Byłem potem w Warszawie, ale wpadłem, jak ogień i do p. Kamila nie odezwałem się telefonicznie. Listownie mu zaproponowałem 28 listopada zające z kuropatwami na naganach, ale jakoś nie „oczarowało" go to pospolite pękanie do szarych czworonogów i szarych ptaków. Żałowałem szczerze tego dnia, który spodziewałem się spędzić w towarzystwie przemiłego p. Kamila. I już go nie zobaczyłem...

Wszyscy, co go znali, a tych jest legjon z tytułem „przyjaciół", zauważyli bezwątpienia jego „mot d'abitude": — fenomenalne!

Wszystko było u p. Kamila „fenomenalne", i to co złe i co dobre występowało wybitnie czy w jego wyobraźni, czy wśród otoczenia.

A umiał ten szczery, łowiecki druh fenomenalnie opowiadać, ach! jak umiał malować barwy i rysować figury, typy! Wielki rysownik, wspaniały ilustrator — fenomenalny gawędziarz!

Mistrzostwo rysunku, mistrzostwo gawędy w chwilach łowieckich spotkań, czy stolikowych, knajpowych „rozmyślań", bez cienia zjadliwej „filozofji" życia, lecz ciętych dowcipem, humorem i werwą, wszystko na wysokim poziomie kultury duchowej, znawstwa życia i wielkiego umiłowania przyrody — oto Kamil Mackiewicz.

Wiosną tego roku zwierzył mi się z projektu opracowania szeregu winiet dla „Łowca Polskiego". Sam o tem pomyślał, gdyż jako miłośnik łowiectwa chciał jego wyraz piśmienniczy ubrać w szatę, godną idei, chciał ozdobić łowiectwo polskie w swoisty sposób, jak to uczynił wspaniale z „Puszczą" Weyssenhoffa, chciał zostawić pamiątkę tylu przyjaciołom wśród czytelników. Czy dokonał tego zamierzenia — nie wiem, jeśli odłożył do warszawskiej serji prac zimowych — straciliśmy niepowrotnie urzeczywistnienie tego zamiaru.

Odszedł w ostępy wieczności, w jutro, nam nieznane, odszedł niespodzianie, nagle, zapewne jeszcze tuż przed tą podróżą obdarzywszy wielu swą „fenomenalną" gawędą — może o wspomnieniach z toków lub pardw tegorocznych...

Żal wielki ściska serca tych, co go znali, niepowetowaną stratę odczuwać muszą jego przyjaciele wybrani, najbliżsi, lecz równa strata dotknęła całe społeczeństwo, jego dorobek artystyczny, sztukę polską.

Śpij, Druhu łowiecki, snem wiecznym. Pamięć o Tobie pozostanie wśród nas głęboko, jak pozostaną Twe znakomite prace rysownicze.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

CZY SĄ JESZCZE NADZIEJE ODRODZENIA ŻUBRA?

Dr. K. Wróblewski, autor znanej i obszernej monografji p. t. „Żubr puszczy Białowieskiej", wydanej nakładem Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu, wygłosił dnia 29 listopada 1931 r. w lokalu warszawskiego oddziału Zrzeszenia Lekarzy Weterynaryjnych, odczyt pod powyższym tytułem.

Całość ujął autor bardzo trafnie, wykazując najpierw stan żubrów przed wojną, w czasie wojny, i po wojnie, przechodząc z kolei do Międzynarodowego Tow. Ochrony Żubra, do którego należy Polska z największą ilością członków. Rzecz to nader cenna i pochlebna, bo Polsce chyba najwięcej zależeć powinno na utrzymaniu żubra, który po za objektem zoologicznym — wplótł się nazawsze w dzieje literatury i historji polskiej.

Do programu Towarzystwa, istniejącego od r. 1923, oprócz akcji ratunkowej, t. j. dążenia do ciągłej produkcji żubra, należy też zbieranie wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z tym gatunkiem zwierząt, a więc wszelkich szczątków żubrów, podobizn w rzeźbie, rysunkach i fotografjach, literatury o żubrach, przeprowadzanie badań i t. p....

Prezes Towarzystwa dr. Priemel naliczył w 1923 roku 56 żubrów dorosłych i 10 cielaków — razem 66 sztuk; rok 1924 wykazuje ten sam stan, rok 1925 — przyrost o 3 sztuki, a więc 69 sztuk na kuli ziemskiej.

W roku 1926 spostrzeżono, że do tej niewielkiej garstki żubrów zaliczono sporą ilość żubrzych bastardów, t. j. mieszańców z bizonami i bydłem stepowem. Wobec tego wykreślono je z rejestru żubrów czystej krwi, których liczba spadła z tego powodu do 52 sztuk. W roku 1927 wzrosła do 56, w roku zaś 1928 i 1929 wynosiła 59 sztuk. Za rok 1930 i 1931 niema jeszcze sprawozdania. Przyrost jest znikomy. Ciekawe są przyczyny strat w tym czasie aż 46 sztuk czystych żubrów. Od kłusownictwa padły 3 sztuki u ks. pszczyńskiego i 2 sztuki zastrzelono za zezwoleniem księcia, 3 sztuki padły przy wiązaniu, 1 sztuka utonęła, jedna padła po porodzie, 3 sztuki zabite przez ojca lub matkę, 3 cielęta padły wkrótce po urodzeniu się, jedno urodziło się martwe, jedno nie wytrzymało podróży. Skutkiem różnych chorób, jak zapalenie jelit, gruźlica, pryszczyca, wąglik etc. padło 15 sztuk, 13 sztuk zaś zeszło z przyczyn niewiadomych. Statystyka powinna być ścisła. — Jeśli się zna przyczynę śmierci, można łatwo w przyszłości uniknąć podobnych wypadków. Jakaż bowiem będzie korzyść ze znacznego rozpłodu, jeśli go zniszczy choroba, która była do uniknięcia. Statystyka Towarzystwa jest więc niezadowalająca. Z powyższego widzimy, że nie przyrost roczny żubrów jest mały, tylko są wielkie straty jego młodego pokolenia, niszczące w zarodkach możność odbudowy żubrów. Wina ta w wielkiej mierze spada na człowieka i fakt ten wymaga szczegółowego opracowania metod opieki, której dotąd Tow. nie zorganizowało racjonalnie.

Zasady Towarzystwa są następujące: 1) Utrzymywanie żubrów w niewielkich grupach dla uniknięcia raptownych strat z przyczyn chorób zakaźnych, 2) Trzymanie tych grup w niewielkich, ogrodzonych przestrzeniach, co daje możność regulowania karmienia i zabezpieczenia przed kłusownictwem. Trzymanie typów czysto ogrodów zoologicznych i rozszerzonego ogrodu zoologicznego, t. j. z dodaniem jedno-morgowej łąki dla wygonu. Towarzystwo przeciwne jest trzymaniu żubrów w parkach. 3) Utrzymanie żubrów czystej krwi w tej czystości. Trudność jednak tej zasady polega na bardzo małej ilości zarodowego materjału, a z tem idzie obawa wymarcia. Tow. prowadzi więc dwie księgi, t. j. czystej hodowli żubra i krzyżowej.

Prelegent dochodzi do przekonania, że wyniki 8-letniej pracy Towarzystwa są bardzo nikłe. Przyczyny tego leżą po części w samych metodach hodowli, po części zaś w niewłaściwych poglądach na biolo-

giczne własności żubrów i wreszcie słabej organizacji samej opieki nad żubrami.

Słuszne jest całkowicie stanowisko, że nie należy żubra krępować wąską i ciasną przestrzenią zamkniętą. O ile bydło domowe ciągnie samo do obory na swoje miejsce, o tyle żubr krępowany ciasnem ogrodzeniem, niszczeje i marnieje. Zresztą nawet bydło domowe wypędza się latem na pastwisko, co odrazu podnosi jego ogólny habitus, żubr zaś, zamknięty latem i zimą w ciasnem ogrodzeniu, ma zaiste widok nieszczęśliwego niewolnika. Natomiast uważa prelegent za najodpowiedniejsze utrzymanie żubrów w ogrodzonych parkach, bo wtedy zapłodnienia i porody odbywają się normalnie, unika się osłabienia czynności serca, otłuszczenia i wszelkich objawów zwyrodnienia.

Już samo linienie w ogrodach zoologicznych pokazuje, jak te zwierzęta cierpią od ciasnoty pomieszczenia. — W naturalnym stanie, lub w parkach, już w końcu czerwca, nie znajdzie się na skórze żubra kępek zeszłorocznej sierści, podczas gdy w ogrodach zoologicznych długo jeszcze pokrywają ciało żubra kłaki martwej sierści, które go swędzą niemiłosiernie, co można wywnioskować z tych usiłowań, jakie zwierzę wkłada, by zwolnić się od tej sierści.

Pomieszczenie polskich żubrów w puszczy Białowieskiej na przestrzeni 22 ha, uważa prelegent za wysoce korzystne, zbliżone prawie do warunków normalnych. Zwierzyna posiada tu przez cały rok potrzebny pokarm, nieodzowną przytem wolność ruchów, możność wyboru o każdej porze roku i dnia odpowiednich dla siebie warunków bytowania, odnosi wreszcie wrażenie zupełnej wolności. Zalecając utrzymanie żubrów w warunkach ogrodów zoologicznych, Towarzystwo upewnia, że żubr jest zupełnie nieczuły na pogodę i chłód, i że deszcz i śnieg sprawiają mu wielką przyjemność. Prelegent obserwując przez trzy lata kilkaset żubrów, skonstatował rzeczy djametralnie przeciwne. Stwierdził, że żubry w czasie zawiei śnieżnych kryją się w gąszczach leśnych i w miejscach zacisznych. Gdyby deszcz sprawiał żubrow przyjemność, jak to twierdzi Towarzystwo—tokąpałyby się one chętnie w rzekach, strumykach itp., tego jednak nigdy nie czynią i to jest cechą biologiczną ich charakteru. Żubry kąpią się tylko w suchej ziemi, a głównie w gorącym piasku w tak zw. kupryskach. Sekcja około stu żubrów, którą przeprowadził prelegent w puszczy Białowieskiej, wykazała bardzo liczne ślady procesów zapalnych płuc, które powstały tylko od przeziębień przy wielkich chłodach. Że żubr kładzie się zimową porą do snu na śnieg, to wcale nie dowodzi, iż sprawia to mu wielką przyjemność. Oczywiście, jak niema wolnego od śniegu miejsca, to żubr nolens- volens kładzie się na śniegu,lecz jeżeli około drabin z sianem napadało siana na ziemię, to żubr zawsze każdą ściółkę wyzyska. Na podstawie powyższych rozumowań konkluduje prelegent, że praca Towarzystwa w wielu kierunkach nie odpowiada rzeczywistym potrzebom żubra.

Przejdźmy teraz do dążeń Towarzystwa: utrzymania żubrów w stanie czystym, podziału żubrów czystej krwi na 4 linje: białowieską, pszczyńską, kaukaską i ogrodów zoologicznych. Prelegent wypowiada się — zresztą całkiem słusznie — przeciwko systemowi. Pięcioletnia bowiem praktyka życiowa, która w myśl pokładanych nadziei w 1925 roku, że oddzielne linje krwi tak się rozmnożą, że można je będzie uważać za samodzielne — zawiodła. Krów czystych zdolnych do rozpłodu było wówczas 16, obecnie po 5 latach jest ich — 19. Podział więc, przy takim postępie rozrostu zarodowego materjału i przy tak niskiej ilości matek, na 4 oddzielne linje krwi, wydaje się sztuczny, niecelowy, o problematycznem znaczeniu.

Omówiwszy sprawy krzyżowania żubrów, oświadcza prelegent, że mając dokładne wyrobione pojęcie o eksterjerze żubrów, napróżno dziś wyszukuje się u bastardów różnic wyraźnych, na mocy których możnaby mówić o przejawach u nich albo bydła stepowego, albo bizona amerykańskiego.

Mimo opłakanych wyników dotychczasowej akcji ratunkowej Towarzystwa, możemy stwierdzić, że żubrowi nie grozi już zagłada. Najwięcej powodów do radości ma tu bezsprzecznie Polska. Obecny stan żubrów w Zwierzyńcu białowieskim jest następujący: w roku 1929 przywieziono 5 sztuk — doczekały się one potomstwa: jeden byczek urodził się w listopadzie 1929 r., 2 jałówki w ub. roku, a w pierwszych dniach września ub. r. urodził się byczek czystej krwi. Wreszcie sprowadzono do Białowieży 28 czerwca ub. r. krowę i byka ze zwierzyńca w Poznaniu.

Razem posiada Białowieża 11 okazów tego królewskiego zwierza, który ma tu faktycznie zabezpieczoną racjonalną, fachową opiekę. Wliczając żubry ks. pszczyńskiego i żubra w zwierzyńcu warszawskim, posiadamy ich w Polsce 18 sztuk, podczas gdy po wojnie nie pozostał u nas ani jeden żubr, prócz trzech sztuk w lasach pszczyńskich.

Powrót żubrów do Puszczy Białowieskiej przyjęła kulturalna część społeczeństwa polskiego z radością i uznaniem, pokładając wielkie nadzieje na odrodzenie tego imponującego zwierza.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.



KUNY.

SZKIC BIOLOGICZNO-ŁOWIECKI.

U nas żyją dwa rodzaje kun, leśna czyli tumak (Mustela martes), oraz domowa, czyli kamionka (M foina). Tumak jest większy, silniejszy, o łapach dłuższych. Futro jego jest bardzo gęste i koloru kasztanowatego. Plama podgardla jest przeważnie koloru żółtego. Stopy są silnie owłosione.

U kamionki, która jest mniejsza, o tułowiu bardziej wydłużonym, plama podgardlana jest z reguły koloru białego. Z reguły, gdyż kolor plam podgardlanych u kun waha się ogromnie. Często spotyka się tak samo tumaka z podgardlem brudnawo-białem, jak i kamionkę z podgardlem odcienia żółtawego. Częstsza jednak jest różnorodność barwy plam podgardla u tumaka, która waha się od złotawo-żółtego do brudno-białego koloru.

Wahania te zrozumieć można w ten sposób, że kolor żółty podgardla u tumaka powoduje bardzo wrażliwy barwik tłuszczowy włosa, który najprawdopodobniej w bliskim stoi związku z bliżej niezbadanemi dotychczas czynnościami ciała.

Zmiana ta nie jest związana z wiekiem kun, gdyż kolor plamy podgardla zmienia się, według obserwacyi, dokonanych w zwierzyńcach i fermach hodowlanych, w zależności od pór roku, corocznie od najintensywniejszego odcienia żółtego do barwy brudno-białej.

Forma plamy podgardla, która u tumaka zwykła być okrągła, a u kamionki ku dołowi rozwidlona, również bardzo często ulega zmianom. Początkowo takie zlewanie się form i koloru u tumaka i kamionki tłumaczono sobie skrzyżowaniem się tych dwóch odmian.

Krzyżowanie takie jest zupełnie niemożliwe. Abstrahując już od różnicy w budowie anatomicznej kości prąciowej (os penis) oraz od zapachu wydzielin, który również pewien wpływ mieć może na wzajemne zbliżanie się, krzyżowanie się kamionki z tumakiem jest prawie niemożliwe z powodu odmiennego ich trybu życia.

Potwierdzają to liczne obserwacje i nieudałe próby skrzyżowania ich w zwierzyńcach i fermach.

Zasadnicze różnice w budowie anatomicznej obu odmian są następujące:

1] Otwór nosowy u kamionki jest okrągły, u tumaka natomiast podłużny i wąski.

2] Przed otworem podniebieniowym u tumaka znajduje się czopek, którego brak u kamionki.

Ponadto odróżniać można kuny po uzębieniu oraz po budowie czaszki.

Odróżnienie takie jednak wymaga pewnego rodzaju wprawy i doświadczenia, to też wtajemniczenie czytelnika w różnice te rozszerzyłoby zbytnio pracę niniejszą.

Ślad tumaka, z powodu silniejszego od kamionki owłosienia stóp, mniej jest wyraźny, gdyż poduszki i pazurki nie tak silnie się odciskają.

W ogólności trop kun podobny jest na pierwszy rzut oka do tropu zająca. U zająca jedynie odcisk tylnych skoków jest silniejszy i dłuższy, ponadto pazurki nie tak wyraźnie się odciskają.

Niektórzy autorowie podają, że trop tumaka od tropu kamionki odróżnić można po napotkanem na tropie łajnie, gdyż pachnie piżmem, ponadto znaleźć można w nim pokrywy skrzydeł żuczków oraz w jesieni niestrawione pestki jarzębiny.

Oznaczenie tropu po takich znakach jest o tyle bez znaczenia, że właśnie w porze, w której się poluje na kuny, t. j. w zimie, ani owoców jarzębiny ani żuczków gnojków niema.

Pozatem odróżnienie łajna po zapachu jest mniej przyjemne i ponadto wątpliwe, gdyż niekażdy myśliwy poszczycić się może wiatrem conajmniej najgorszego wyżła.

Tropienie kun, szczególnie tumaka, należy do najtrudniejszych, ale zarazem daje myśliwemu najwięcej emocji.

Częste kluczenie oraz długie wędrówki po drzewach bardzo mylą ślad tumaka i nie zawsze polowanie takie uwieńczone jest sukcesem, gdyż najbardziej wytrawny i wytrzymały na trudy nemrod, podczas długiej takiej wędrówki, trwającej nieraz od świtu do zmroku, często po kolana w śniegu, zmęczy się i pomyli w śladach.

Ale wytropić tumaka znaczy tyle, ile zdać egzamin mistrzowski tropienia.

Łowienia tumaków za pomocą żelaz i potrzasków zabrania nasza ustawa łowiecka. Jedynie dozwolone jest łowienie kamionek za pomocą pułapek.

Pułapki skrzynkowe na równi z żelazami talerzykowemi dają przy pewnej umiejętności zastawiania dobre rezultaty.

Skrzynki stawiać należy na znanych przesmykach. Żelaza talerzykowe stawia się na t. zw. zeskokach kamionek. Wyśledzenie takiego zeskoku nie jest trudne, zwłaszcza po ponowie.

Zasiadka na kamionkę w noc księżycową daje przy pewnej cierpliwości również dobre rezultaty.

W wyborze pokarmu kuny nie są wybredne; padlinę zjadają w najostateczniejszym razie podczas surowej zimy.

Kuny, a w szczególności tumak są prawdziwym biczem dla zwierzyny.

Ptaki od mysikrólika począwszy, a skończywszy na głuszcu, ssaki od myszy do zająca i sarenki, nie uchronią się od jego krwiożerczości.

W szczególności prześladuje wiewiórkę, której dorównywa w zręczności, a nawet ją przewyższa.

Nad porą, w której się cieczka odbywa, długo i obszernie dotychczas debatowano i debatuje się bez uzgodnienia wspólnego stanowiska i konkretnego wyświetlenia stanu rzeczy.

Według przeważnej części autorów, cieczka kun odbywa się u tumaka w połowie i z końcem stycznia, u kamionki w lutym.

Pierwsze debaty i wątpliwości co do cieczki w styczniu i lutym pojawiły się w Ameryce Północnej.

Żyje tam gatunek, podobny do naszych kun, miano-

wicie Mustela americana — soból amerykański — hodowany dla cennego jego futerka w fermach.

Kopulacja skuteczna, połączona ze związaniem się płci, nie odbywa się nigdy w miesiącach zimowych, lecz jedynie w lipcu i sierpniu.

Dopiero po ogłoszeniu powyższych obserwacyj, zaczęły pojawiać się na łamach czasopism fachowych liczne uwagi i notatki na temat cieczki kun, w wyniku których przypuszczać należy bezapelacyjnie, że skuteczna cieczka odbywa się raczej w lecie, a nigdy w miesiącach zimowych.

Bezsprzecznie i w miesiącach styczniu i lutym obserwuje się u kun objawy niepokoju i spostrzega goniące się pary. Dotychczas jednak konkretnie nie udowodniono, że kopulacje, zaobserwowane w zimie, były skuteczne, to też przypuszczać należy, że cieczka w lutym żadnej dla rozmnoży nie odgrywa roli.

Nazwać ją można dlatego słusznie „cieczką ślepą".

Cały stan rzeczy nie jest dotychczas dlatego zupełnie wyświetlony, gdyż sporadyczne, konkretne obserwacje nad ewtl. bezskutecznością cieczki zimowej jako dowody negatywne muszą się zwiększyć, by cieczkę tę móc określić rzeczywiście jako „cieczkę ślepą".

W następstwie cieczki letniej czas noszenia płodu przedłuża się z 90 dni na 8 — 9 miesięcy, gdyż pierwsze pomioty kun znaleźć można w kwietniu.

Długie takie noszenie płodu nie jest zjawiskiem odosobnionem.

Należący np. do rodziny Mustelidae, borsuk cieka się w miesiącach lipcu i sierpniu, przyczem i u niego cieczka ślepa odbywa się w styczniu i lutym.

Wiadomem jest, że u sarn ustaje rozwój płodu w miesiącach zimowych, by rozwijać się dalej dopiero wiosną. Podobny przebieg rozwoju płodu mógłby odbywać się również i u kun, gdyż stałe rozwijanie się płodu przez okres dziewięciomiesięczny może wydawać się nieco za długim u zwierzątek tak małych, jakiemi są kuny.

Mogłoby jednakże również bywać to, że plenniki po kopulacji dłuższy czas pozostają bez zmian, by później dopiero nastąpiło wewnętrzne zapłodnienie, jak to bywa u nietoperzy.

Może w tem znaleźlibyśmy rozwiązanie do zjawiska cieczki ślepej.

Nie chcę zagubić się w teorjach, pragnę tylko wskazać, ile trzeba jeszcze obserwacyj i badań w tym wypadku.

Dokładne ustalenie czasu cieczki miałoby ogromne znaczenie zarówno dla hodowców, jak i dla ochrony kun.

Byłoby bardzo pożądanem, gdyby myśliwi w interesie nauki powrócili do tematu tego i podali, kto z absolutną pewnością stwierdził kopulację kun, połączoną z wiązaniem się par, w styczniu i lutym oraz w lipcu i sierpniu.

Pisząc słowa te,dostałem do rąk artykuł prof. dr. Prell'a, dyrektora Instytutu Zoolog. Akademji leśnej w Tarandt, który pisze m. in.:

„Kuny ciekają się 2 razy do roku. Pierwsza cieczka odbywa się w lipcu i sierpniu, druga w zimie w styczniu i lutym. Cieczka letnia jest cieczką główną, w wyniku której następuje zapłodnienie. Cieczka zimowa jest cieczką uboczną, nieodgrywającą żadnej roli w zapłodnieniu. Czas noszenia płodu wynosi zatem 8 — 9 miesięcy."

Powyższe uwagi prof. Prell'a są potwierdzeniem moich wywodów.

INŻ. LEON OSSOWSKI.



Oryginalne zdarzenie z dzikiem.

W dniu 15 b. m. byłem w podwórzu folwarcznem gospodarstwa mego; wożono w pole nawóz stajenny; fornal, który tylko wyjechał z naładowaną furą z podwórza, pozostawił furę w polu i przybiegł na podwórze, oznajmiając, że tuż za ogrodem ukazał się dzik, a chłopcy rozrzucający nawóz oraz inni fornale usiłują go powstrzymać; w tej chwili pobiegłem po sztucer, a zrobiłem ten błąd, że nie dosiadłem konia, gdyż mój informator powiedział, że dzik strasznie zmęczony bardzo wolno uchodzi; niestety, gdym wybiegł za ogród, dzik już był dość daleko, pomimo to biegłem za nim, wiedząc, że go moi ludzie furmanką ścigają; liczyłem więc, że może go zawrócą, skoro dzik tak zmęczony; dzik biegł gościńcem, a że był to jarmark kwartalny w pobliskim Płońsku, spotykałem co chwila po drodze ludzi pieszych i jadących furmankami; jeden z jarmarkowiczów, śmielszej natury, zastąpił dzikowi drogę, uderzony ryjem, znalazł się w cierniach przydrożnych; dzik biegł truchcikiem z otwartym ryjem, ciężko dysząc; fornal mój, jadąc pustym wozem, czwórką koni, umyślnie najechał na dzika lejcowemi końmi, dzik się wywrócił i koń na dzika upadł.

Skutek był taki, że dzik skręcił z gościńca i biegł już po polach; z przyległego folwarczku, Ślepowronki, znalazło się dwóch konnych: ogrodnik z fuzją i chłopak bez broni, ci konni blisko nacierali na dzika; gonitwa trwała około 5 klm. po polach i laskach, w końcu dzik dobiegł do rzeki Wkry i nie przewidując, że lód okaże się zdradzieckim, wpadł na koryto rzeki, gdzie, jak to mówią, „rozszczepił się", ponieważ to było tuż przy wsi, grono ścigających powiększyło się i biedny dzik padł pod ciosami wideł i kłonic; co prawda ogrodnik tłumaczył mi, że on pierwszy odważył się wpaść na cienki lód, bardzo głębokiej rzeki i na 2 kroki wypalił w czoło dzikowi z obydwóch luf; ale przy oględzinach czoła strzaskanego nie zauważyłem.

Ja byłem tylko dalekim widzem pogoni, bo wozem przy odwilży po włościańskich polach gonić nie chciałem. Dzika na miejscu zważyłem, był to duży wycinek wagi 98 kg. o słabych kłach.

Nazwałem zdarzenie to dlatego oryginalnem, że dzik w rannych godzinach (koło 9-tej rano), prze-

biegł przez miasto powiatowe Płońsk; żydzi zamykali bramy, aby „wściekły" dzik nie wpadł w które podwórze. Dzik biegł początkowo szosą z Płońska ku Nowemu Miastu, w odległości 5 klm. od miasta skręcił z szosy i biegł potem gościńcem, nie zwracając uwagi na dążących na jarmark.

Niewikla TADEUSZ ABRAMOWICZ

Biała kuropatwa (albinos).

Już w sierpniu w jednem stadku kuropatw zauważyłem całą białą kuropatewkę. Były jeszcze niewyrośnięte i stale pilnowały się jednego pola — żytniska. Z ciekawością obserwowałem to stadko, a polowemu poleciłem specjalny nadzór nad niem. Nadszedł wrzesień, kuropatwy wyrosły i zmieniły miejsce wylęgu. Byłem zaniepokojony, czy nie przejdą zagranicę, na pola włościańskie i nosiłem się z zamiarem odstrzału, by jako rzadki egzemplarz dać do wypchania. Zauważyłem, że biała kuropatwa specjalnie była ostrożniejsza, na podorach szare żerowały, a ta chowała się w skiby, skoro tylko w sąsiedztwie ktoś był. Kilkakrotne wyprawy na albinosa skończyły się niepowodzeniem. Dnia 20 października byłem w polu, dzień był wietrzny, zauważyłem, że naleciało moc gawronów i natrafiwszy na stadko kuropatw, tak natarczywie zaatakowały albinosa i prześladowały tak zażarcie, że przestraszony, ratując się, wpadł do zabudowań. Posłałem w ślad chłopca i ten zdrowego oddał mi do rąk. W klatce doskonale się chowa — dostał współtowarzyszkę — przy sposobności oddam go do warszawskiego zwierzyńca. Rzadko się trafia, by taki egzemplarz można było ująć żywcem.

Kolczyn. JAN KRAJEWSKI.



Pałacyk myśliwski w Antoninie. Fot. dr J. Dolezal.

— **Biały lis na Pokuciu.** — Na kociołkowem polowaniu, urządzonem przez Towarzystwo Myśliwych w Kołomyi, odbytem w dn. 7 listopada r. ub. w Korniczu, pow. kołomyjskiego, upolowano, między innemi, piękny okaz białego lisa — albinosa. Według informacyj uzyskanych od miejscowej ludności, białego lisa widziano na terenie gmin Kornicz, Ceniawa i Załucie, pow. kosowskiego. Upolował białego lisa p. inż. Eugenjusz Skuciński, administrator dóbr Ceniawa. Wypadkiem powyższym zainteresują się zapewne nasi hodowcy cennych gatunków lisa.

— **Postrzelenie kłusownika.** — W rejonie batalionu „Dawidgródek" Korpusu Ochrony Pogranicza, postrzelony został koło strażnicy „Brzoza" dnia 29 listopada ub. r. znany w tamtych stronach ze swego niszczycielskiego zajęcia: tępienia zwierzyny łownej, kłusownik Dymitr Kodolicz. Odebraną kłusownikowi broń, oddano policji państwowej.

J. WI K



Rozkład polowania w Antoninie. Fot. dr. J. Doleżal.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Dnia 18 grudnia 1931 r. odbyło się w Antoninie (powiat Ostrów Wielkopolski), u księcia Michała Radziwiłła, doroczne polowanie na zające.

Udział wzięło 12 myśliwych i 100 naganki; między innymi obecni byli pp.: wicewojewoda poznański — Kaucki, konsul czchosłowacki — Doleżal, pułkownik Maszadro, dyrektor Mańkowski i naczelnik dr. Macko.

Polowanie prowadził pierwszorzędnie nadleśniczy dóbr antonińskich, inż. Wyrzykowski z pomocą zastępcy, inż. Małeckiego.

Pogoda dopisała nadzwyczajnie — dzień jasny i bezmroźny, pola lekko przyprószone ponową.

Opolowano w 7 kotłach około 5.000 morgów (magdeburskich) pól, należących do folwarków Przygodzice, Jankowo i Topola Wielka. Padło 170 zajęcy i 2 króliki: pozatem stwierdzono dobry stan kuropatw.

Przed i po polowaniu książę podejmował zaproszonych gości z iście radziwiłłowską gościnnością w pałacyku myśliwskim, w Antoninie. Pałacyk ten, zbudowany w r. 1826, cały z modrzewia, zasługuje na uwagę tak ze względu na swe walory architektoniczne, jak i na zgromadzone w nim skarby wspomnień w postaci trofeów myśliwskich i ksiąg pamiątkowych, zawierających wiele historycznych nazwisk.

Dnia 19 grudnia ub. r. odbyło się doroczne polowanie w majątku p. Heleny z Brezów Rohlandowej, Żabia-Wola, w lubelskiem.

Uczestniczyli pp. A. i St. Brezowie, K. i W. Kołaczkowscy, K. Karpiński, G. Mazurkiewicz, M. Pru-

szyński, St. Rostworowski, red. St. Strumph-Wojtkiewicz, T. i St. Zakrzewscy.

W trzynastu miotach leśnych i jednym polnym, na niewielkiej stosunkowo przestrzeni 600 morgów, w krótkim grudniowym dniu, dzięki niezwykłej sprawności i szybkości, z jaką było zorganizowane i przeprowadzone polowanie, n. b. pod osobistem kierownictwem właścicielki, jak niemniej dzięki starannej i gorliwej opiece i ochronie, padło 247 zajęcy i 1 lis; sarny widziano w każdym miocie.

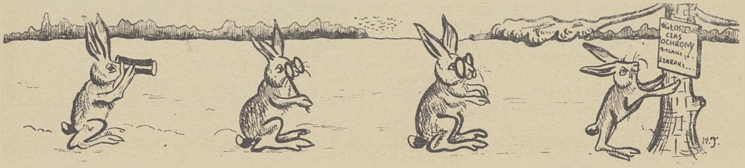
Wobec fatalizmu, prześladującego monarchje, na kontynencie europejskim, ogłoszenia nawet tak efemerycznego króla zaniechano.

Z żalem opuszczaliśmy gościnne progi, unosząc najmilsze wspomnienia przebytych wrażeń myśliwskich, a podziw dla tak pięknego i obfitego pokotu.

„uczestnik".

(J. Wł. K.). Dnia 15.XII ub. r. odbyło się polowanie na terenach majątku Wielki Łęk, powiat Działdowo, własność p. Jana Skąpskiego. Polowano w 12 strzelb, kotłami na przestrzeni 900 ha pól i łąk i ubito 63 zajęcy. Wynik byłby niepomiernie większy, gdyby nie deszcz z gradem i śniegiem pędzony w tym dniu silnym wiatrem, bowiem zwierzostan mimo trudnych warunków jest tutaj bardzo dobry, co jest wielką zasługą gospodarza, znanego myśliwego, hodowcy i troskliwego opiekuna zwierzyny łownej. Berło królewskie zdobył p. Leśnicki, mając na rozkładzie 17 zajęcy. Po polowaniu znalazła zziębnięta wiara myśliwska serdeczną gościnę w staropolskim dworku pp. Skąpskich, gwarząc do późna o przeżyciach dnia. Za tę gościnę „Bóg zapłać" gospodarzom.

(J. Wł. K.). Kółko Łowieckie Centralnej Szkoły Podoficerów K. O. P. w Osowcu urządziło dwudniowe polowanie na własnych terenach. Polowano dnia 19 i 20 ub. m. Myśliwych dwunastu. Ubito razem 63 zające i 2 lisy. Królem polowania był kpt. Przybylski, położywszy 1 lisa i 12 zajęcy.



WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Bydgoszcz. Futra. Ceny hurtowe futer loco Bydgoszcz za 1 sztukę w złotych: Lisy 35 — 40, kuny 60 — 70, tchórze 15 — 18, sarny letnie 1.20, — zimowe 0.50.

— **Ceny giełdowe skór niewyprawionych. Lwów.**— Lisy do 4.00 dol. (35.00 zł.), kuny domowe 7.00 — 8.00 dol. (70.00 — 80.00 zł.), kuny leśne 7.00 — 10.00 dol. (70.00 — 90.00 zł.), tchórze od 10.00 — 30.00 zł., wydry od 10.00 do 12.00 dol. (90.00 — 110.00 zł.), gronostaje do 6 — 10 zł., borsuki do 1.50 dol. (12.00 zł.), zające do 1.00 zł., wiewiórki 0.60 — 0.70 gr., wilki od 2.00 — 4.00 dol. (15.00 — 35.00 zł.).

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.